



Czarownica

i inne niesamowite opowieści

Armoryka-Audiobook

Czarownica

CZAROWNICA

opowieści niesamowite

**Wiktor Gomulicki
Andrzej Sarwa**

**Armoryka
SANDOMIERZ 2008**

Redaktor: Władysław Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2008 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-60276-52-5

Andrzej Sarwa

**PORWANIE MISTRZA
TWARDOWSKIEGO**

Dzień był skwarny, sierpniowy. Głębokiego błękitu nieba nie plamiła ani jedna chmurka, tylko ogromne, do białości rozpalone słońce majestatycznie przesuwalo się przez firmament.

Po obu stronach okrytego grubą warstwą kurzu gościńca stały nieruchomo szerokie łąny białoziarnej, acz czerwonołosej pszenicy sandomierki.

Od Krakowa ku Sandomierzowi gościńcem owym sunęła niezgrabna, lecz wygodna bryka. Woźnica przycupnięty na koźle co i raz cmokał i szarpał za lejce, usiłując – bez powodzenia jednak – pobudzić parę koni do szybszego biegu. Na nic się to przecie nie zdawało, bo zwierzęta zmęczone były i głodne.

Z tyłu, za furmanem, wygodnie rozparty, to podrzemując, to znów na zmianę sycąc oczy cudnymi widokami, siedział nie byle kto, tylko sam sławny krakowski doktor i czarownik – mistrz Twardowski.

Podskakiwanie okutych żelaznymi obręczami kół na wybojach miast go zmęczyć, wprawilo w jakowyś stan przedziwny, stan w którym z bólem sięgnąwszy do przeszłości, przywoływał pod przymknięte powieki echa dawnych zdarzeń.

I oto Twardowski lustrował całe swoje życie.

Rodzinnego dworku, gdzie przyszedł na świat wcale już nie pamiętał. Wiedział, że był gdzieś w pobliżu Krakowa, a kojarzył mu się tylko z jednym – z otwartą trumną w okrag której, w drewnianych masywnych lichtarzach, tkwiły żółte woskowe świece, a u ich szczytów migotały, niczym cętki światła na rozedrganej rzecznej toni, żółtawe płomyki.

W trumnie leżał mężczyzna, odziany w wyszarzały kontusz, z sumiastym wąsem opuszczającym się ku podbródkowi i złożonymi na krzyż dłońmi, które opleciono różańcem.

To był ojciec.

I tylko tak go zapamiętał. Tylko tak...

A potem? Potem był Kraków, dokąd się przenieśli pod dach dalekich krewnych, bowiem rodzinny dom zabrano im za długi.

Pamiętał jak matka oddawała mu swój chleb i swoją polewkę, byle tylko nie był głodny, byle tylko był silny. Wtedy nie rozumiał jak wielkimi były te ofiary... Dziś już to wiedział...

Matka... Gdy miał jedenaście, czy dwanaście lat, odeszła na zawsze. Umarła na Gromniczną, kiedy najsroższy mróz skuł ziemię, tak ich grabarz z trudem rwał jej żółtawe kęsy, kopiąc jamę, w którą opuszczono skrzynię zbitą z nieheblowanych desek, bo na prawdziwą trumnę dla nieboszczki krewniacy poskąpili. Zresztą... Czyż należy się im dziwić?...

Gdy zmarł ojciec, nie płakał, bo jeszcze nie rozumiał czym jest śmierć, lecz kiedy Kostucha zastukała do ich ubożuchnej

izdebki, kiwając zakrzywionym palcem na tę, którą ukochał całym sercem, wylał wiele, wiele łez...

I od owej pory dnie płynęły mu już podobne do siebie, niczym wytarte ziarna starego różańca, przesuwane w sękatach, spracowanych palcach.

Głód i poniewierka. On, szlachecki syn, musiał innym być sługą, byle tylko napęłnić brzuch. Kpiono z jego ubóstwa, z ubrań przerabianych z ojcowych, ze zbyt wielkich, dobrze już poprzecieranych safianowych butów i zapadniętego z niedostatku brzucha.

Cierpiał, ale pokładał ufność w Bogu i w Jego Najświętszej Matce. Nie jeden raz noce całe spędzał na klęczkach, wyciągając ręce w stronę krucyfiksu i ze łzami w oczach błagając Pana o miłosierdzie, to znów śpiewając kantyczki ku czci Maryi Panny, które sam nad podziw zgrabnie układał.

Przecież mijały tygodnie, przechodziły miesiące, upływały lata, a nic się nie zmieniało – był jednak biedny i jednak głodny. Stwórca nie wysłuchiwał jego prośb. Dlaczego?!

Aż nadeszła chwila, gdy przemógł się i swoją naiwną wiarę w Boskie Miłosierdzie precz odrzucił. Uniósł ku górze zaciśnięte pięści bluźniąc i przeklinając, jednocześnie przysięgając i sobie i Niebu, iż uczyni wszystko, byle tylko precz odegnać nędzę, byle tylko stać się bogatym i sławnym.

A wówczas zjawił się on – Smutny Człowiek o czerwono jarzących się oczach i przyobiegał, że o ile młodzieniec da szlacheckie słowo, iż w przyszłości odda mu ciało i duszę za doczesne dostatki, sprawi że odtąd nigdy już nie zazna biedy, szyderstwa i kpiny.

Dał słowo, zastrzegając iż moc czartowska władzę nad nim rozciągnie nie gdzie indziej, a w samym Rzymie tylko. Dał słowo i obietnica Smutnego Człowieka stała się rzeczywistością.

Ponieważ miał wielki pociąg do wiedzy, wstąpił na Akademię Jagiellońską, gdzie oddał się studiom

matematycznym, astronomii z astrologią oraz medycynie, zagłębiając się też w alchemię i magię.

Kiedy już uzyskał stopień doktora, stał się tak sławny, iż sam król, sam Zygmunt August, wziął go na swego nadwornego lekarza.

Sen Twardowskiego i obietnica dana przez Smutnego Człowieka, ziściły się. Był sławny i był bogaty.

O tym wszystkim rozmyślał Twardowski, z turkotem okutych żelaznymi obręczami kół zbliżając się do Sandomierza, dokąd udawał się dla zażycia odpoczynku pośród gęstwiny sadów, kędy niczym w sercu puszczy rozpołożyło się miasto cudne mieszczańskimi kamienicami, strzeliste wieżycami kościołów, zasobne spichlerzami i bezpieczne królewskim kasztelem.

Miał też sławny krakowianin nadzieję kupić pewne ziółko, najsrozsze niemoce leczące, które rósć mogło tylko w ogrodzie świetnego sandomierskiego doktora, sławą nawet samego Twardowski przechodzącego, uczonego Stanisława Bartolona.

Wiedział bowiem czarownik, iż zdobywszy owo ziele, nie jeden jeszcze rok mile spędzić może, ciesząc się młodością i wigorem.

Nie w smak to przecie było czartu, który rad by czarnoksiężnika jak najrychlej osiąść...

Ledwo Twardowski minął był Bramę Krakowską, oto od strony rynku, na spienionym kruczoczarnym rumaku, przycwałował pazik pewien:

– Mistrzu Twardowski, ratuj!

– A cóż to się stało?

– Oto pan nasz, król August, spadłszy z konia, bez czucia leży w karczmie w podłe miasta.

niegdzie porośniętej siwą szczecią, wyzierały oczy płonące szkarłatem, niczym dwa węgle żarzące się na skraju ogniska.

– A jam twój druh... Z przed lat... Pamiętasz...

Oblicze demona wyrażało bezbrzeżną wzdargę i nienawiść. Wycelował zakrzywionym, haczykowatym palcem prosto w pierś Twardowskiego i ciągnął dalej:

– Napij się miodu. Napij. To już ostatni twój kusztyczek. Długom czekał, by się nareszcie doczekać. Od tej chwili jesteś mój, Twardowski! Na wieczność!

Czarownik poczuł jak nogi się pod nim uginają. Nie wiedzieć czemu opuściła go wola walki. Pojął, że ze złym duchem nie wygra.

Nie rozumiał tylko dlaczego ów szpetny stwór pokazał mu się akurat teraz, skoro zgodnie z umową winno to nastąpić dopiero w Rzymie, gdzie miał prawo z ciałem i duszą porwać go do piekła. W Rzymie – lecz nie w Sandomierzu!

Demon zaśmiał się chrapliwie:

– Czytałem w twoich myślach Twardowski! Czytałem! Nie pocieszaj się, żem jeszcze do ciebie nieabrał praw. O, nabrałem ich, i to w dwójnasób. Czyż Sandomierza nie nazywają aby „polskim Rzymem”? A czyż ta karczma nie „Rzym” się nazywa?

Nad horyzontem przetoczył się grzmot. Niebo jęły zasnuwać czarne welony chmur, co i raz rozdzieranych zygzakami sinych błyskawic.

– Napij się miodu, Twardowski, a nie żałuj sobie...

Demon wyciągnął szponiaste palce, chwytając nimi doktora za gardło.

Powoli podniósł się zza stołu, pociągając za sobą Twardowskiego. Ten sparaliżowany strachem nie stawiał najmniejszego nawet oporu i posłusznie szedł, prowadzony przez złego ducha.

Karczmarz na ów widok aż przykucnął za szynkwasem, czując jak włosy, z przerażenia, podnoszą mu się na głowie, po plecach zaś spływa stróżka zimnego potu.

Wiktor Gomułcki

CZAROWNICA

Obrazek starowarszawski

I

Borem zielonym, gościńcem piaszczystym rycerze dwaj posuwali się szlapią.

Niebo stało w ogniu, bowiem dzień lipcowy, płomienisty, żarny, ku końcowi się miał. Po obłokach z onyksu, jaspisu, porfiru przewalały się złota i purpury potoki.

– Po królewsku coś słonko zachodzi... – mówił jeździec młodszy mrużąc oczy modre, dwa prawe turkusy.

Starszy dodał:

– Wróżba to może dla księstwa, że się wrychle w królestwo przedzierzgnie...

– Jakżeby? – zdziwił się tamten.

– Dyc gadają, że król Zygmunt Mazowsze połknąć rad. Pono go miła żonka k'temu ciągnie.

– Włoszka... Wawrzynów jej trza i cyprysów. Cóż onej po piachach mazowieckich?